ROK 1. CENA 30 GR.

ŚWIAT DOM i SZKOŁA

No 5. Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 3 marca 1929.
WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA.

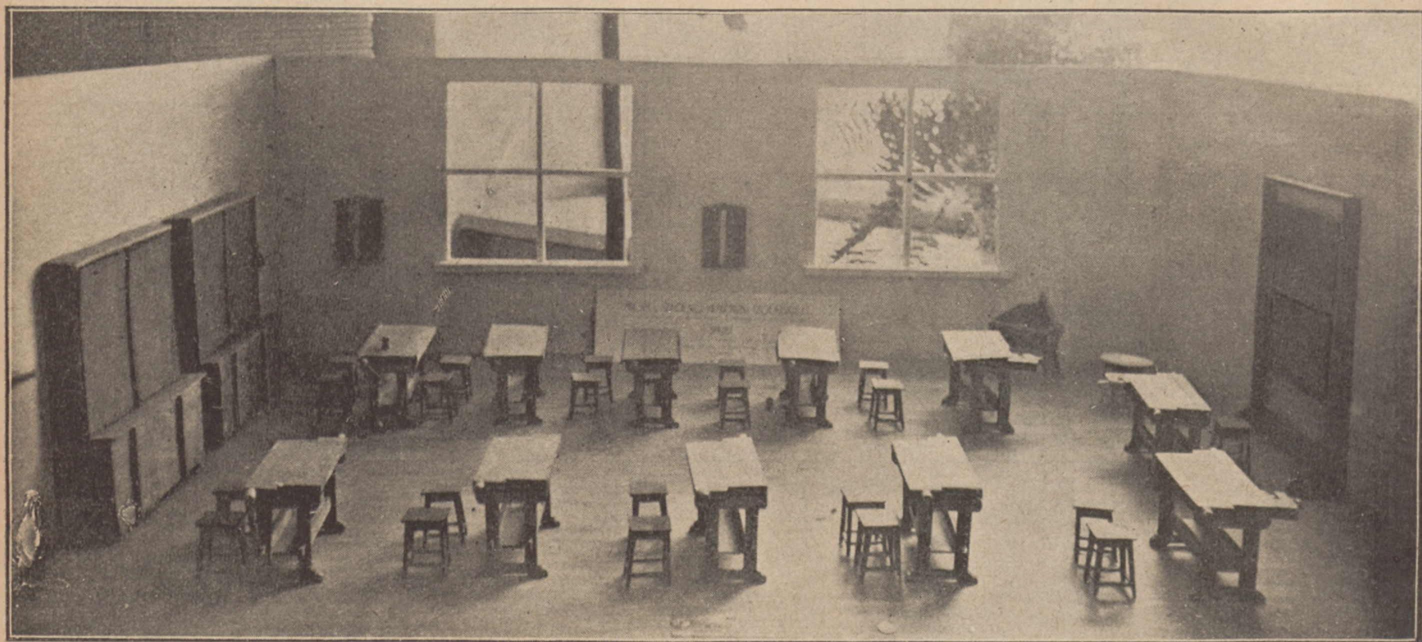


Z WYSTAWY SZKOLNEJ

Wykresy z działalności Komisji Opiek Szkolnych.

K. STATTLERÓWNA.

WYSTAWA SZKOLNA.



Model szkolny pracowni stolarskiej.

Do działu *wychowania* zaliczyć też należy „Teatr szkolny“, zobrazowany w modelach i fotografjach przedstawień szkolnych, a także co ważniejsza, na ciągle czynnej scence gimnazjum, na której przewinęły się w czasie trwania wystawy liczne zespoły dzieci i młodzieży szkół powsz. średnich i seminarjów, dając szeregi przedstawień, inscenizacyj pieśni ludowych, tańców ludowych, szopki, fragmenty utworów klasycznych, a nawet sceny w obcych językach.

Niektóre z tych przedstawień, o poziomie bardzo artystycznym, przeznaczone zostały na Wystawę w Poznaniu, by tam, wobec tysięcy oczu polskich i obcych, dać świadectwo pracy nauczyciela, zdolności młodzieży szkolnej i piękna ludowej sztuki polskiej.

Gdy już mowa o sztuce, wspomnieć należy i o produkcjach muzycznych, o chórach i orkiestrach szkolnych, których wartość, niezależnie od fachowego poziomu, pozostaje w dalszem życiu ucznia jego własną, niepodzielną, pełną uroku wartością w życiu społecznem i towarzyskiem. Dlatego produkcje te zaliczamy w dużej części do działu wychowawczego.

Wysoki stopień karności i opanowania przejawiły też zespoły gimnastyczne w szeregu pokazów, według wymagań dzisiejszych wychowania fizycznego na różnych poziomach, począwszy od 1-szej klasy szkoły powsz.; nie zbrakło wśród nich i instytutu dla ociemniałych.

Żywe te eksponaty, wymowniej niż najpiękniejsze okazy pracowniane, stwierdziły rozwijający i wychowawczy wpływ szkoły na powierzony jej świat młodociany.

Jeśli zatrzymaliśmy się dłużej nad działem *wychowania* i pokrewnych mu dziedzin, to dlatego, że jest on zrozumiały nawet dla laika w sprawach szkolnych. Dość mieć serce i umysł, zdolne pojąć potrzeby dzieci, ich umiłowanie ruchu, czynnej pracy, tworów rąk własnych, gwaru, swobody, wędrówki i samorzutnej organizacji.

Dalszy, olbrzymi materjał wystawy to już przeważnie część czysto fachowa, to poszczególne działy nauczania, jak: rysunki, roboty ręczne, geografja z pracownią geograficzną, astronomja i meteorologja, historja, nauka o Polsce Współczesnej, bogato reprezentowany język polski, języki obce i filologja klasyczna, religja katolicka, ewangielicka i rel. wyznania mojżeszowego, matematyka, chemja i fizyka. Same nazwy wskazują, że niektóre z tych nauk wykładane są tylko w wyższych klasach szkoły średniej i w seminarjach naucz. Te jednak gałęzie wiedzy, które dostępne są na wszystkich poziomach, zestawione zostały według wspomnianej już myśli przewodniej, t. j. według zasady szkoły jednolitej. Na zeszytach, pomocach szkolnych, okazach pracownianych, demonstrowane jest stopniowanie wymagań według najlepszych metod od 1-ej do 7-ej klasy szkoły powsz. i równoległych dwu klas gimnazjum niższego, do wyż-

szych klas gimnazjalnych i sem. naucz. Specjalnie ciekawa dla wszystkich zwiedzających bez różnicy zainteresowań naukowych, była sala Polski Współczesnej, pełna modeli i graficznych zestawień ze wszystkich dziedzin życia Polski; sala ta świadczyła zarówno o treści tego życia, jak i o stopniu zrozumienia i pomysłowości jej młodych obywateli.

Ściany szerokich korytarzy wystawy zawieszone były rysunkami uczniów wszystkich poziomów szkolnych, dochodzącemi do wysokiej artystycznej wartości. Ogólno wychowawcze znaczenie rysunku uzyskało już sobie w szkole niezaprzeczone miejsce.

Z tego samego względu na specjalne uwzględnienie zasługuje sala „Robót Ręcznych", traktowanych przez dzieci z takiem głębokiem i poważnem poczuciem odpowiedzialności i twórczego wysiłku, z jakiem traktuje swą pracę w fabryce wykwalifikowany robotnik; są tam wyroby z papieru, kartonu i tektury, introligatorstwo, koszykarstwo, różnego typu obróbka drzewa, szkła, metalu, roboty z drutu, blachy, gliny, wszystko to w rozwinięciu metodycznem, dającem młodzieży sprawność myśli, rąk i dużą zaradność życiową.

Dla dziewcząt istnieją prócz tego pracownie robót kobiecych i szkoły gospodarstwa domowego, których wychowanki wychodzą praktycznie wyrobione i przygotowane do szkół zawodowych i do bieżących zadań domowych. W niektórych szkołach dalszy ciąg nauczania robót ręcznych stanowią wspomniane już zajęcia warsztatowe pozaszkolne.

W niezmiernie interesującym dziale „praktyki pedagogicznej" widzimy obraz wzorowego przedszkola z jego ćwiczeniami, kształcącemi całość przeżyć małego dziecka. Prócz tego jedna ze szkół ćwiczeń, tych najswobodniej rozwijających się typów szkół powsz., dała śliczne zbiorowe prace młodszych oddziałów skupione we wszystkich przedmiotach koło jednego ośrodka, np. „Wieś", lub „Przystań Warszawska". Prace te kształcą prócz innych władz dziecka także i zdolność zgodnego współdziałania społecznego.

Osobne miejsce ma dział szkolnictwa specjalnego, obejmujący szkoły dla ociemniałych, głuchoniemych, upośledzonych umysłowo i zaniedbanych moralnie. Głęboki podziw przejmuje na widok tego ogromu dorobku wychowawczego, osiągniętego na tym niezmiernie trudnym gruncie równie olbrzymim nakładem poświęcenia jak i wiedzy fachowej wychowawców. Dziś dziecko-kaleka, dziecko-wykolejeniec, to już nie wyrzutek, skazany na zagładę, to przedmiot wyjątkowej opieki, która leczy, rozwija, ratuje to, co już zdawało się stracone. Trudno powiedzieć, jaki kapitał sił fizycznych i duchowych wraca tą drogą do świata pracy, zamiast mu być ciężarem.

Higjena szkolna i wychowanie fizyczne, tak dziś pogłębione na terenie szkoły, znalazły swe odbicie we wzorowo urządzonej sali gimnastycznej, w gabinecie dentystycznym i w sali opieki higjeniczno-lekarskiej w szkole powsz. Są tam wykresy Ligi przeciwgruźliczej, Kolonij letnich, Kół Mł. Czerw. Krzyża i inne.

Niema działu, który nie byłby reprezentowany. Niema szkoły, któraby się choć w drobnej części nie przyczyniła do całości wystawy. Dlatego celowo pominęliśmy nazwy szkół lepiej uposażonych, a stąd bogaciej na wystawie przejawiających swą działalność.

Wychodzimy z Wystawy Szkolnej pod głębokiem wrażeniem. Oto szkoła polska! Oto jej piękne, jasne sale, obszerne i zasobne pracownie, wesołe i swobodne dzieci, czas niemierzony drugą, a często i trzecią zmianą. I jakże daleko jeszcze do tego, by wszystkie nasze dzieci szkolne doznały tego dobra! Jakże liczne jeszcze są rzesze dzieci, dla których zgoła miejsca w szkole zabrakło!

Jeśli jednak w dzisiejszych warunkach przy dzisiejszym stanie budownictwa szkolnego, szkoły powsz. i średnie osiągnęły tak imponujący wynik, ileż dałyby młodemu pokoleniu polskiemu szkoły liczniejsze i lepiej uposażone! Czas najwyższy wszystkie myśli zestrzelić, wszystkie kieszenie otworzyć dla sprawy stworzenia pięknego szkolnictwa w Polsce.



NADESŁANO NAM UWAGI, KTÓRE W CAŁOŚCI PODAJEMY, CIESZĄC SIĘ, ŻE SŁOWA NASZE JUŻ ZNALAZŁY ODZEW.

ZAPOWIEDŹ LEPSZEGO JUTRA.

Powstanie pisma „Świat, dom i szkoła" jest dla stosunków szkolnych Warszawy faktem niezmiernie doniosłym. Przyszłość wykaże, jak wielką będzie ono spełniać rolę, jeżeli zostanie należycie wyzyskane. Oczywista, samo życie nasunie cały szereg spraw, które za pośrednictwem tego pisma będą rozwiązywane. Dziś przecież można wytyczyć jego drogi, jako pożądaną projekcję.

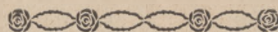
Nasamprzód trzeba zaznaczyć, że sama myśl powołania do życia tego rodzaju pisma ma żywotne znaczenie łącznika pomiędzy rodzicami a nauczycielstwem. Dotychczas dawał się odczuwać brak ogniw,

któreby spajały pracę wychowawczą domu i szkoły. To też niezawsze mogły te dwa kierunki działać zgodnie. W rezultacie najgorzej na tem wychodziło dziecko. Rozbieżność oddziaływań wychowawczych domu i szkoły krzywiła prostolinijność charakterów dziecięcych. O przyczynach tego stanu nie będę tu mówił. Poprzestanę na zaznaczeniu, że „Świat, dom i szkoła“, jako organ porozumiewawczy między rodzicami a nauczycielstwem może stanowi temu zasadniczo zaradzić. Wobec postępu idei szkoły jednolitej, czynnik rodzicielski, rekrutujący się z różnych warstw społecznych, będzie miał od siebie do powiedzenia niemało... Dla obu stron sprawa to wagi ogromnej. Jeśli się rozejrzymy w ogólnych zainteresowaniach pedagogicznych, dostrzegamy dziwną pobieżność w dziedzinie zagadnień wychowania duchowego. Niejedni rodzice widzą, że dziecko ich staje się, dzięki szkole, bardziej mądre czy przemądrzałe, ale nie staje się bynajmniej lepsze. To też Tygodnik, wydawany przez Radę Szkolną, może spełnić funkcję przewodniczącego narad pomiędzy zainteresowanemi stronami w kwestji uzgodnienia metod i celów wychowawczych.

Poza temi dwoma zagadnieniami, jak nawiązanie żywej i głębokiej łączności między rodzicami a szkołą, wspólna praca nad wychowaniem etycznem dziatwy szkolnej, „Świat, dom i szkoła“ może krzewić pośród szerokich kół rodzicielskich znajomość aktualnych zagadnień pedagogicznych, zapomocą popularnie ujętych artykułów lub przez podanie odpowiedniej lektury.

Należy się spodziewać, że ten godny zewszechmiar uznania pomysł stworzenia organu Rady Szkolnej m. st. Warszawy zostanie właściwie i należycie pokierowany. Pragnąłbym, aby słowa moje wywołały realny oddźwięk pośród rodziców i nauczycielstwa. A wówczas i dom, i szkoła, i świat będą oglądać rezultaty wspólnych wysiłków, które się ujawnią w umysłach i charakterach wychowywanej dziatwy.

Arkadjusz Mirkowicz
Nauczyciel Szkoły Pawszechnej.



R. RUDZIŃSKA.

STUDZIENIEC A DZIECI PRZESTĘPCZE.

Pytałam się raz pewnej kobiety, mieszkającej wraz z rodziną w wilgotnej suterynie, czy im nie zimno. „Ale, gdzież tam! Palimy cały dzień. Mój mąż jest węglarzem.“ Powiedziała to tak swobodnym i naturalnym głosem! Oczywiście, skoro mąż jest węglarzem, w domu węgla zabraknąć nie może. Nie trzeba kupować, można wziąć ze składu lub fury.

Rozmowę tę słyszało troje dzieci, z których najstarszy, chłopiec lat 12, napewno nieraz ojcu pomagał.

Ileż to ojców i braci, matek i sióstr przynosi do domu drobnostki z warsztatów pracy: tu gwoździk, tam deseczka, tu nitka — tam szpileczka. W domu wszystko się przyda. Nie kradną tego przecież — broń Boże — biorą poprostu.

Dziecko wzrasta w poczuciu, że można coś brać z obcego dobra, że to nic nie szkodzi. Gdy troszkę podrośnie, pomaga rodzicom i przynosi rozmaite drobnostki do domu.

W okresie lat 12—16, gdy dziecko powoli przekształca się na młodzieńca, krew w nim żywiej zaczyna pulsować, i budzą się rozmaite chęci, których dom częstokroć zaspokoić nie może. Organizm potrzebuje lepszego i intensywniejszego odżywiania — owoców, słodyczy. W domu tego niema—„bierze“ się, tedy, soczyste owoce z ogrodu sąsiada..A że to jest przytem bardzo zajmujące tak się skradać i czaić i — zwyciężyć, więc wyprawy na cudze drzewa powtarzają się coraz częściej.

Można także zrobić psikusa żydówce na targu, a potem opowiedzieć o przygodzie w domu: matka się uśmieje, braciszek schrupie z radością orzech czy jabłko, chłopiec stanie się na chwil parę bohaterem.

Gorzej jest z ciastkami, co są za szybą, ze ślizgawką, z kinem. Na to wszystko trzeba mieć pieniądze. Rodzice nie dają, bo nie mają lub nie chcą. Skąd wziąć? „Bierze“ się tedy, jeśli tylko nadarzy się sposobność: z początku od matki, potem od nieostrożnego kolegi.. . A gdy tego jest zamało, to może ten głupi Franek czy Józiek, co ma bogatych a skąpych rodziców coś tam z domu świśnie. Ale i to wkrótce nie wystarcza, więc sięga się coraz dalej, coraz głębiej.

Chłopiec ma już lat piętnaście. Szkoły nie skończył. żadnej pracy nie ma. Rodzice pieniędzy nie dają: zarób sobie. Wtedy to mały gwóźdź, przyniesiony kiedyś do domu, urośnie do rozmiarów belki żelaznej, a nitka — zamieni się na sztukę płótna. Aż razu pewnego: katastrofa — dziecko oddane zostaje pod sąd i — trafia do domu poprawczego. Jeżeli to jest dziecko zdolne, normalne i jeżeli się z nim odpowiednio obchodzić, a nadewszystko nauczyć je ja-

kiejś pracy zarobkowej i dać możność samodzielnego zdobywania sobie pieniędzy — może się łatwo i szybko poprawić.

Gorzej jest z takiemi dziećmi, które kradną nie dlatego, że chcą sobie życie uprzyjemnić, ale dlatego, że urodzili się już ze skłonnościami do złodziejstwa.

Dzieci, które się urodziły ze złymi skłonnościami są bardzo trudne do wychowania. Wiecznie kłamią, dokuczają wszystkim, są leniwe, nie chcą się uczyć. Nie wiadomo, co z niemi zrobić. Przemawiać im do sumienia, wzbudzać w nich szlachetniejsze myśli i uczucia — bardzo to trudne do przeprowadzenia: trzebaby raczej wymyślić jakieś nowe sposoby obchodzenia się, czy też leczenia tych nieszczęśliwych.

Jeszcze trudniejsze są dzieci o zwyrodniałym charakterze po przebytej chorobie mózgu. Straszliwa to tragedja dla rodziców, gdy dziecko miłe, zdolne i dobre przemieni się po chorobie na nieznośnego kłamczucha, złodzieja i bezwstydnika. Co robić z takim dzieckiem? Tu pomóc może tylko leczenie. Ale niema u nas jeszcze odpowiedniego dla nich zakładu, więc te dzieci oddaje się — a w każdym razie dotychczas oddawało się — do domów poprawczych. Tu stanowią najtrudniejszy, najgorszy element. Nikt sobie z nimi poradzić nie może, więc napewno najwięcej są bici. Nic to nie pomaga — więc podrażniony do najwyższego wychowawca wymyśla coraz większe kary, zaczyna to dziecko nienawidzieć, znęca się nad nim...

Jeżeli w Studzieńcu tak okrutnie obchodzono się z dziećmi, to napewno — między innymi przyczynami — i dlatego, że był tam pewien procent dzieci, które się bynajmniej do domu poprawczego nie nadają. Są to dzieci anormalne, chore, często o bardzo niskiej inteligencji. Chłopcy ci, umieszczeni razem z normalnemi, zdolnemi do poprawy chłopcami, przeszkadzali zapewne w oddziaływaniu na innych, wpływali na nich źle, zarażając ich swoim złym przykładem. Kto chce poprawić stosunki w Studzieńcu, powinien między innemi poddać tych chłopców gruntownemu badaniu lekarza i psychologa.

Jest jeszcze jedna grupa dzieci przestępczych, których do domów poprawczych oddawać nie należy. Są to dzieci, o których możnaby powiedzieć, że popełniły przestępstwo z rozpaczy. Są to dzieci bardzo wrażliwe, może zbyt wrażliwe, bardzo smutne, przygnębione, zdolne, z powodu złego stopnia lub uwagi rodziców, popełnić nawet samobójstwo. Znałem taką dziewczynkę, ktara usłyszawszy od matki zdanie: „Ty się nigdy niczego nie nauczysz“, uwierzyła w to, przestała się uczyć i wpadła w taką apatję, że trzeba ją było długo leczyć z tego stanu. Dzieci takie, o ile żyją w biedzie i niedostatku, odczuwają tak boleśnie brak pieniędzy, że zdolne są popełnić przestępstwo dla ich zdobycia. Kradną tedy, a potem bardzo swego postępku żałują.

Tym dzieciom dom poprawczy jest niepotrzebny. Miłość i wnikliwość matki, dodanie im otuchy, czasem słów parę dobrych i rozumnych, a nadewszystko pogodna atmosfera życia rodzinnego — to wszystko ustrzec je może przed nieszczęściem.

Który z opisanych powyżej typów dzieci przestępczych poprawiony być może — biciem? Czy to normalne dziecko, napół głodzone w domu, pozbawione rozrywek i radości, wychowywane w atmosferze niepewnej moralności, które w okresie przejściowym zeszło z prostej, lecz tak trudnej u nas drogi? Czy to, którego ojcowie i dziady kradli i pili, a dziecku te złe nałogi tylko przekazali? Czy może to, którego choroba pozbawiła pewnej części mózgu, i któremu tylko specjalne leczenie cośby pomóc mogło? Lub może bić należy te dzieci o znękanej, zbolałej duszy, które w przystępie zwątpienia i ostatecznej rozpaczy popełnić mogą samobójstwo lub — kradzież?

Czy wychowawcy w Studzieńcu wiedzieli o tem wszystkiem? Nie, nie wiedzieli. Byli to ludzie prości, nieuczeni. Mieli oni tylko ręce do bicia, lecz nie mózgi do myślenia. Należeli może sami do typów zdegenerowanych, nadawali się sami do zakładów poprawczych lub szpitali.

Więc jeżeli w Studzieńcu znęcano się nad dziećmi, to przedewszystkiem dlatego, że posłani tam do opieki ludzie byli do funkcji tej nieodpowiedni. Odpowiedzialność za to ponoszą ci, którzy im funkcję tę powierzyli.





Po żniwach herwowych.

BOHDAN PAWŁOWICZ.

Z WĘDRÓWEK PO ŚWIECIE.

„SAFRA“ ŻNIWA HERWOWE W PARANIE.

Lipiec nadszedł dość chłodny, jak na Paranę, i zima była w całej pełni.

Po dolinach i w miejscach ocienionych grasował nawet lekki zamróz. Zato w pełnem słońcu, na wzgórzach ciepło było tem przyjemniejsze.

Postanowiliśmy odwiedzić gospodarza, który nas wyratował z błotnej przygody i udaliśmy się na oddawna zamierzoną wycieczkę.

— Piłeś już herva-mate? — spytałem mego towarzysza, gdy, jadąc ostro po zaschniętej glince drogi, wjechaliśmy pomiędzy ściany puszczy.

Potrząsnął głową.

— Nawet nie wiem, co to jest! — odparł z bezradnym uśmiechem.

— Człowieku!—zawołałem, udając zgorszenie—gdzieżeś się schował i co robiłeś przez te 3 miesiące w Paranie!

— Nie wydziwiaj, tylko powiedz — prosił.

Musiałem mu przyznać słuszność.

— Herva-mate, albo poprostu herva — rozpocząłem profesorskim tonem — jest napojem powszechnie używanym w całej Południowej Ameryce i z powodzeniem zastępuje naszą herbatę, a nawet ją, ponoć, przewyższa, gdyż ma w sobie pewną dozę narkotyku, który zbawiennie działa na trawienie.

Herva jest drzewem i rośnie dziko w puszczy. Dopiero w ostatnich czasach zaczęto zakładać plantacje.

Z drzewa tego zrywa się liście, opala je, suszy, miele i następnie zaparza w kipiątku w ten sam sposób, jak powszechnie używaną w Polsce herbatę.

Zresztą zobaczysz!

Przerwałem wykład, bo akurat droga wychynęła na szerokie śródborze, a w oddali zamajaczył „gródź“ obejścia, do którego zdążaliśmy.

W chacie zastaliśmy tylko staruszkę — matkę naszego gospodarza, która uprzejmie poczęstowała nas „kują“ gorącego „szimaronu“, to jest zaparzaną hervą (szimaron) w wydrążonej tykwie (kuja).

— Spróbuj, na rozgrzewkę! — odezwałem się do przyjaciela i uśmiechnąłem się.

Pociągnął mocno przez drewnianą rurkę „bombę“.

— Uważaj, poparzysz się! — zawołałem.

Ale on już krzywił się niemiłosiernie, pluł i otrząsał się, jak po lekarstwie.

— Brr! — stękał — paskudztwo!

— Hale zaś! — oburzyła się staruszka, a ja objaśniłem:

— Dla nieprzyzwyczajonych ma rzeczywiście

herva smak niemiły, ale po pewnym czasie nikt od niej oderwać się nie może, a w puszczy jest napojem nieocenionym.

Podnieca, rozjaśnia myśl, rozgrzewa i co najważniejsze nie oddziaływa szkodliwie na organizm, jak alkohol.

— Idźta panowie do boru — wtrąciła gospodyni — tamoj „sepakują"(opalają) mate.

Gospodarz przyjął nas radośnie:

— Bywajta, bywajta! Myślałem, co już nie przyjedziecie!

Siedział na gałęzi drzewka hervowego i nieprzerywał ani na chwilę roboty.

Pośród strzelistych, potężnych pni igław-pinjorów, stały na dole zrzadka niewielkie, jasnokore drzewka, o ciemnych, połyskliwych listkach z wierzchu, a perłowych, matowych od spodu. Wysokodrzew chronił je od wichrów, a rozłożyste dachy pinjorów, tworzyły zasłonę przed spreżogą nieba i przed przymrozkami.

Cała rodzina gospodarza cięła hervowe liście i co drobniejsze gałązki, które cicho opadały na wydeptaną przez bydło i trzodę ściel lasu.

Tam dziewczyny wiązały je łykiem takuary w wiązki i pęczki, te większemi snopkami wędrowały na plecach chłopców do ogniska, żywo buchającego płomieniem.

Nad ogniskiem hervę opiekano, aby straciła wszystką wilgoć, bacząc przytem pilnie, by się nie przydymiła.

Tak opieczoną ładowano na wózki i wieziono do zagrody, gdzie ładowano ją do suszarni, której gliniana podłoga była silnie rozgrzana ogniem, a gorące powietrze wysuszało resztę wilgoci z liści.

Opodal stodółki chodził koń w kieracie, poruszając młyn. W młynie tym mielono liście hervy.

Składał się on jedynie z zębatego stożka, ściętego na końcu i obracającego się wokół własnej osi, oraz z silnego trzpienia żelaznego, wokół którego krążył cały mechanizm.

Szerokie drewniane zęby mełły hervę tak długo aż skruszyły ją na drobniutki proszek, niby proch tytoniowy.

Proszek ten zgarniano do przygotowanych worków, ubijano w worki i magazynowano w śpichrzu, gotowe na sprzedaż.

Dziewuchy i parobczaki pracowali raźno, a myśmy wglądali wszędzie ciekawie.

W lesie nie ustawał stuk pracujących „paragwajów" (nożów do cięcia) i „fakonów" (szabel-tasaków), a dym pełzł rudemi zwojami wśród pni i sączył się z lasu na polanę, niby mgła ranna, wstająca z nad ziemi.

— Hej, herva!— gwarzył z wysoka gospodarz gdy powróciliśmy do niego po obejrzeniu suszarni i młyna — to kiejby pszenica Parany, to złoto!

Wszyćkie ludzie tutaj piją i w Jargentynie i Czyle i w inszych krajach Hameryki!

Cena zła nie jest, po 9 milów za „drobę", a co człek lasu karwas ma, szkodować se nie może.

Bez hervę pobudowałem się, bez hervę Pan Bóg biede wzion i pobłogosławił.

Hej, herva pszenica i złoto Parany i naskiego narodu!



Młyn „herwowy".

WANDA MELCER-SZTEKKEROWA

Życie na wielkim statku transatlantyckim.

A teraz wyobraźmy sobie socjetę, która porusza się razem z pędem Asturias po falach Atlantyckiego Oceanu. Wyobraźmy sobie te dwa tysiące ludzi, zaludnienie małego miasteczka, związanych z sobą nierozłącznie na przestrzeni 630 stóp, na przeciąg prawie miesiąca. Ileż zwierzeń przypadkiem można usłyszeć, jakże niespodziewane wyznania czynią ci ludzie, spodziewając się nigdy więcej nie spotkać przygodnych towarzyszów podróży. Jak powiedziałam na wstępie, przy moim stoliku zajęło miejsce dwóch panów. Jeden był milczący i fryzowany Niemiec, drugi nadzwyczaj wesoły Włoch, handlowiec. Otóż ten Włoch pojechał do Europy załatwić jakieś sprawy handlowe i przy okazji znaleźć sobie żonę, ponieważ nie miał gustu do autochtonek. O narzeczonej swojej, którą sobie wynalazł w Szwajcarji, wyrażał się, że to dobra, choć głupia dziewczyna, że ma duży posag, i że za następnym swoim pobytem w Europie weźmie z nią ślub. Oczywiście uważał, że ta zmiana życiowa nie pociąga za sobą żadnych obowiązków, i chodził z predylekcją do trzeciej klasy, gdzie spotkałam go parę razy, siedzącego w fotelu i otoczonego gromadką ładnych żydóweczek. Zresztą w parę dni po wyjściu z Cherbourga, w Lizbonie, usiadła przy stoliku, który przyzwyczaiłam się już uważać za swój, młoda osoba, koncentrująca na sobie uwagę całej sali. Miała ona zwyczaj rzucać kawałkami chleba w panów, siedzących przy innych stolikach i śmiać się bardzo głośno, jeżeli udało jej się trafić. Nie było więc rady i musiałam się przenosić do innego stołu, tym razem w towarzystwo pewnej starszej pani z pochodzenia Polki, która zresztą nie umiała ani słowa po polsku, i bardzo malutkiego Egipcjanina, który dużo opowiadał o Egipcie.

Świat kobiecy na statku dzielił się zasadniczo na trzy typy: więc najpierw panie piękne i niesłychanie strojne, zmieniające trzy razy dziennie toalety, wymalowane, roześmiane i podróżujące samotnie. Wszystkie spotkałam potem w Buenos Aires, jak śpiewały albo tańczyły w małych teatrzykach, albo też sprzedawały przemycone z Europy paryskie toalety. Do drugiego gatunku zaliczyłabym europejki, jadące w „uczciwych zamiarach“, często w towarzystwie rodziny lub mężów. Do trzeciego wreszcie młode Brazyljanki czy Argentynki, panie i panienki z najlepszych rodzin, leniwe, rozpieszczone, wystrojone i wymalowane zapewne więcej jeszcze, niż manekiny z domów mód.

Mężczyźni sportowali się, grali w bridża i zakładali się. Byli tu multimiljonerzy, najbogatsi plantatorzy kawy z Santos, nababi z Argentyny, przez których włoście, jak mówiono, pociąg pośpieszny szedł przez cały dzień, zanim od granicy po granicę przejechał. Podczas kiedy ci panowie wiezieni byli ku swojej tropikalnej ojczyźnie, ich pyszne, wyścigowe konie biegały na torach Buenos Aires albo w Rio de Janeiro. Biuletyny o zdrowiu tych koni były wydarzeniem dnia, szacowanem narówni z najdonioślejszemi wydarzeniami z polityki, radiowe depesze miały zajęcie. Zakładano się więc o wyniki wyścigów i o szybkość statku, o ilość mil morskich, ujechanych dziennie przez Asturias, a dla urozmaicenia czasu, zamawiano u szefa kuchni coraz nowe smaczne kąski, pomimo obfitego i naprawdę doskonałego menu dziennego.

A podczas, kiedy wspaniałe, podług ostatnich wymagań sztuki dekoracyjnej, zdobione wnętrza na pokładach pierwszej klasy, wiozły barwny, wesoły, rozbawiony, kosmopolityczny tłum—ściśnięci w rozpalonych kajutach trzeciej klasy jechali emigranci. W niepewności jutra, brudni, nędzni, nie znający języka tubylców, śnili w gorączkowych snach o złotodajnej ziemi, która miała im posypać pod nogi wymarzone bogactwa.

I tak torował sobie drogę wśród fal wspaniały statek Asturias, niosąc na swoim grzbiecie blaski i nędzę, szał zabawy i niedolę. A zdaleka powstawał z Atlantyku ląd palm i niezmierzonych pastwisk, dziewiczych lasów i przedziwnych zwierząt—Ameryka Południowa.



EWA SZELBURG-ZAREMBINA

WŁASNY STOLIK.

Matkę aż pod sercem ścisnęło.

— Znowu dwója! Ślicznie!

Romek milczy.

— No mówże przynajmniej za co? Naturalnie... błędów kopa, jak to ty potrafisz...

Romek milczy.

— Głuchyś? Pytam się, za co ta dwója?

— ...bo nieporządnie przepisane — odpowiada wreszcie Romek.

— Ty byś co kiedy porządnie zrobił!

Nagle w kuchni coś zasyczało, więc matka pobiegła z pośpiechem do komina i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Romek wyjął z dziurawego, przemoczonego śniegiem tornistra książki i przesiąknięte wilgocią zeszyty i zasiada do odrabiania lekcyj.

Napisał, starannie kaligrafując, tytuł zadania i zabiera się do pierwszego słowa w następnym wierszu. Wtem wchodzi starsza siostra z gorącem żelazkiem w ręku i z kilkoma sztukami bielizny do prasowania.

— Możebyś się tak posunął? Widzisz, że mam robotę.

Romek ociężale podnosi głowę z nad zeszytu.

— No! — przynagla siostra. — Ruszże się!

Ruszył się.

Ruszył się jednak i zeszyt. Mokre jeszcze słowo rozmazało się w szkaradny kleks.

Na jednej połowie stołu siostra prasuje szybko, zajadle. Stół drży i wzdryga się od gwałtownych posunięć żelazka.

Po drugiej stronie stołu litery z pod ręki Romka wychodzą jakieś dziwnie pokręcone.

Trudno, byleby dobrnąć do końca stronicy przed obiadem.

Akurat!

Słychać już ciężkie kroki ojca na schodach. Matka wypada z kuchni.

— Romek, zdejmuj no te swoje graty ze stołu. Widzisz przecież, że już obiad...

I Romek posłusznie zgarnia wszystko do kupy: książki, zeszyt, piórnik, kałamarz. Niesie to na okno.

Nagle — stanął w połowie drogi, obrócił się:

— Mamo!

Głos chłopaka brzmi dziwnie twardo, jak u dorosłego. Zaskoczyło to matkę:

— Noo?

— Ja proszę o jakiś osobny stolik do nauki.

— Co???

Obie kobiety wytrzeszczyły na niego oczy.

— Stolik? osobny? dla ciebie, fąflu?

A gdy przyszedł ojciec:

— Pewnieś nawet nie wiedział, jakiego to masz syna! Minister! Biurka mu potrzeba, a jakże!

Romek zawstydzony i upokorzony stał pod oknem. Z jego chmurnych oczu płynęły jedna za drugą wielkie, okrągłe łzy i kapały na „ozdobny“ stolik, przykryty zakurzoną, włóczkową serwetką.

Stolik ten, nigdy nie ruszany, stoi już od kilku lat w honorowym kącie pokoju, dźwigając na sobie zapstrzone lusterko, dwie pocztówki z całującemi się parami w laubzegowych ramkach i stare album jakiegoś cudzoziemskiego miasta, nie wiadomo już kiedy i przez kogo nabyte czy dostane.

(...Czy przyjdzie komu na myśl uprzątnąć ten stolik pod zeszyty i książki tak ciężko pracującego dziecka?).

WANDA GRABIŃSKA

PRAWO I ŻYCIE.

ARTYKUŁ 238.

Czy pamiętacie opowiadanie o chłopcu, co strugał korytko dla rodziców? Jeżeli nie, to wam je przypomnę.

Otóż w jednej rodzinie bardzo źle obchodzono się z ojcem staruszkiem. I ponieważ starowinie ręce się trzęsły przy jedzeniu i zupę na stół wylewał, więc dano mu drewniane korytko, w którem odtąd jadał swą strawę samotnie, na uboczu, łykając wraz z nią gorzkie łzy upokorzenia. Widząc to jego mały wnuk wziął parę deseczek, zaczął je razem składać i młotkiem przybijać. „Co ty tam robisz?“ spytał się go ojciec. „Ja robię korytko, dla ciebie tatusiu i dla mamusi; jak będziecie starzy to wam w tym korytku jeść będę dawał.“ Wtedy zawstydzili się ci rodzice i zobaczyli, że dając zły przykład dziecku, sami sobie na starość szykują niedolę.

Ta krótka powiastka jakież dosadne znajduje potwierdzenie w życiu. Ileż to ludzi nie daje jeść swoim rodzicom nawet w korytku! Niedawno opisywano w gazetach wypadek, który się zdarzył w powiecie miechowskim: Pewna gospodyni wiejska, nie chcąc dłużej żywić swej niedołężnej matki-staruszki, wsadziła ją wraz z rzeczami na wynajęty wóz i poleciła zawieźć do drugiej siostry.

Ale ta druga siostra też nie chciała brać sobie do domu „ciężaru". Opłaciła więc woźnicę za dalszą drogę i kazała mu zawieźć matkę do trzeciej siostry. Trzecia siostra nie miała lepszego serca od swego rodzeństwa, nietylko że nie chciała przyjąć matki do swej chaty, ale i nie opłaciła furmana na powrotną drogę. Zniecierpliwiony daremną wędrówką woźnica zdjął staruszkę z wozu, położył ją na szosie, nakrył załadowaną między rzeczami pierzyną, zaciął konie i odjechał. Nawpół żywą kobiecinę odnalazła na drodze policja.

Jeżeli chodzi o stosunki w mieście, to i tu sprawy te nie przedstawiają się lepiej. Naprzykład Wydział Opieki Społecznej m. Warszawy ustalił ostatnio, iż większość żebraków i żebraczek ma dzieci, posiadające dostateczne środki na ich wyżywienie. Dzieci te, chcąc się pozbyć kłopotu utrzymywania rodziców, wypędzają ich z domu i zmuszają do żebraniny. Magistrat warszawski zbiera przeto odpowiednie dane i ma zamiar wystąpić przeciwko tym dzieciom na drogę sądową. Za uzyskane w sądzie alimenta, żebracy będą umieszczeni w miejskich zakładach.

Na drogę sądową? A na jakich podstawach? — zapytacie. — Czy istnieje u nas prawo, które *nakazuje* dzieciom utrzymywanie swoich rodziców? A naturalnie, że istnieje. Odpowiednie przepisy zawarte są w kodeksie Cywilnym Królestwa Polskiego, obowiązującym dotychczas w byłej Kongresówce. Podstawowy artykuł 238 tego Kodeksu głosi, iż *dzieci obowiązane są dawać alimenta rodzicom i innym wstępnym* (t. j. dziadkom, pradziadkom i t. p.) *w potrzebie pozostającym.* Ten obowiązek utrzymywania *nie jest więc żadną łaską*, ale *uprawnieniem rodziców.* Może on być wykonany przez płacenie rodzicom alimentów t. j. pewnej przyznanej dobrowolnie lub oznaczonej przez sąd kwoty pieniężnej, bądź przez przyjęcie rodziców do swego domu na mieszkanie i żywienie. Te środki utrzymania powinne być dostarczane *w stosunku do potrzeb rodziców* i *w stosunku do majątku dzieci* obowiązanych dawać alimenta. Utrzymanie więc, dawane rodzicom, winno być tego samego rodzaju, jakie dzieci mają w swoim własnym życiu. Alimenta mogą być *zmniejszone* lub całkiem zniesione, jeżeli stan materjalny rodziców poprawi się do tego stopnia, że ich nie będą potrzebowali, lub też gdy dzieci obowiązane je dawać popadną w tak ciężkie warunki, że nie będą mogły ich płacić. Wtedy jednak zamiast pensji pieniężnej obowiązane są żywić rodziców.

Również zięciowie i synowe mają przez prawo nakazane utrzymywanie rodziców żon swoich, lub swoich mężów, ale obowiązek ten ustaje, gdy matka męża lub żony weszła w nowe związki małżeńskie, lub gdy ten z małżonków, przez którego powinowactwo zaszło, i dzieci z ich małżeństwa, nie żyją.

We wszystkich więc przypadkach, w których dzieci, synowe czy zięciowie uchylają się od obowiązku utrzymania rodziców, mają ci ostatni prawo na zasadzie owego 238 artykułu i następnych wystąpić do okręgowego sądu cywilnego ze skargą i żądać zasądzenia owych alimentów.

Smutnym jest jednakże objawem, gdy te sprawy musi aż sąd rozstrzygać. Dowodzi to rozkładu w rodzinie, zaniku w niej poczucia *praw moralnych*, których prawo pisane jest tylko umocnieniem. Rozstrzygając tę sprawę we własnem sumieniu i we własnym domu powinniśmy pamiętać zawsze, że *jak my traktujemy swoich rodziców, tak dzieci nasze będą nas traktowały.* Kto nie zechce dobrowolnie dać ojcu i matce chleba, niech będzie pewien, że poskąpi mu go w przyszłości jego własne dziecko.

To też, znając artykuły prawa, lepiej postępować tak, żeby z niemi w życiu nie mieć nic do czynienia, a postępki swe kierować sercem i rozumem, miłością Boga i ludzi.

M. WYSZNACKA.

DZIECIOM TRZEBA CIEPŁA.

Jakże wesoło bawi się moje dziecko w dobrze ogrzanym pokoju. Jak zwinnie chwytają piłkę ciepłe rączki, jak radośnie uśmiecha się rumiana buzia.

Z jakąż radością patrzę na tę zabawę i na ten uśmiech... Bo ciepło to zdrowie, to rozwój, to uśmiech, to swoboda ruchu, jasność myśli, to pogoda uczuć.

Jakiemi złemi oczyma patrzy z kąta zimnej izby Mróz... jak ostre ukłócia idą po skórze jego oddechy... Zamarzła radość dziecięcego uśmiechu, a z nad posiniałych policzków błysnęło złe spojrzenie nienawiści. Nie utrzymają pióra skostniałe ręce dziecka, pójdzie w kąt książka, a serce zalegnie uczucie krzywdy.

Złe to ziarna i złe jego plony...

Bo dziecku trzeba ciepła...

Wraz z koszykiem węgla otrzymanym wzamian za ofiarowany dziecku w szkole przez pośrednictwo Kom. Opiek Szk.

wchodzi do izby ciepło podwójne: to fizyczne, promienie z rozpalonego węglem pieca i to inne, które przenika do serca wtedy, gdy ustępuje z niego uczucie krzywdy...

To widok jakiejś dłoni bratniej wyciągniętej z życzliwą pomocą, to poczucie opiekuńczej jakiejś mocy rozciągniętej nad potrzebującym, to promieniowanie ciepła, idące z cudzej życzliwej chęci, z cudzego serca.

Bo dziecku trzeba ciepła...

Ale liczby są zimne, liczby są obojętne.

76.000 dzieci w szkołach w Warszawie!

150.000 kg. węgla do podziału przez Komitet Opiek Szkolnych!!!

Jakże to rozdzielić, kogo wybrać?

Na dziecko przypada 2 kg. Jeśli dać 50 kg. to może się ogrzać mniej więcej tylko jedno dziecko na 25-cioro!

A zatem więcej ofiarności! Niechże każde ciepłe, ogrzane rączki dziecięce zaniosą ciepło swym zmarzniętym rówieśnikom. Niechże mocniej jeszcze życzliwą troską rozpalą się serca!

Bo dzieciom trzeba ciepła!

KINOKRONIKA.

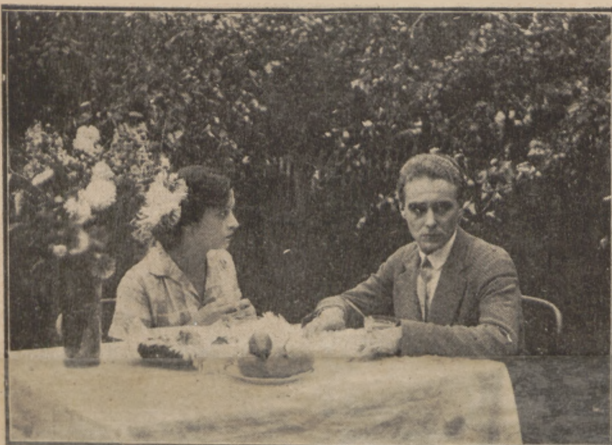
Znowu stajemy przed pytaniem, czy należy filmować wielkie dzieła literackie? W Polsce to pytanie jest ważniejsze, niż gdzie indziej, bo dotychczas filmowanie dzieł literackich dało raczej ujemne wyniki. Nie udał się Pan Tadeusz, Przedwiośnie nie usunęło wątpliwości, a teraz film Ponad śnieg wznowił zagadnienie, jakkolwiek, może był nienajgorzej przystosowany do ekranu, w zasadzie.

Tak dalece przekonywująca jest przeróbka, że pytamy się, poco umiera Rudomska?! Niechby żyła i młodej parze pobłogosławiła, jak w amerykańskich obrazach. Natomiast film nie miał reżysera. Nawet cień reżyserji nie błąka się po ekranie. Błąkają się tylko aktorzy, jak owce, nie rozumiejąc „ani w ząb“ o co chodzi. Największą przeciwniczką będąc ekranowej gry artystów teatralnych — muszę uderzyć się w pierś i wyznać, że tu grał tylko teatr: Stanisława Wysocka i Jaracz. Aby jednak nie dał się widz omamić pozorom, zaznacza się *nieprzebytość* dróg, inność terenu filmowego od ekranowego. Taka Wysocka np. największa tragiczka polska, która była zawsze postacią wstrząsającą w momentach dramatycznych — na ekranie zawodzi zupełnie w podobnych momentach, natomiast jest świetna, jako kresowa „pani ze dworu“, chodząca patrzeć za pługiem, czy aby gleba jest dość pulchna, łająca ekonomów, dozorująca folwarkiem. I — gdyby film miał reżysera, któryby odsłonił Wysockiej tajemnice ekranu, pouczył jaki jest ekranowy chód, gest, na czem polega patos taśmy filmowej, na czem jej liryzm, byłaby zadebiutowała Wysocka pierwszorzędnie.

Jaracz, prócz paru usterek szminkowych, był znakomity.



St. Wysocka



Ewa Koreyw... i M. Cybulski w „Ponad śnieg".

Cybulski, z twarzą źle ucharakteryzowanego cheruba, nie nadawał się zupełnie do dramatycznej roli Willa. Koreywianka, fatalnie uczesana i uszminkowana, nie irytowała w pierwszej części obrazu—jako „dama swywolna“, była jednak nieznośna. Szymańska, poza przepysznemi oczami, nie wykazała niczego: ani talentu, ani intuicji, ani nawet zrozumienia Żeromskiego. Świetny był bez zastrzeżeń mały Tadzio Fijewski, który ma wielką przyszłość przed sobą, o ile go nie zmarnują nasi domorośli reżyserzy. Tak, jak w „Przedwiośniu“ nie wyzyskano tyle filmowego motywu „szklanych domów“ — w „Ponad śniegu“, nie uwzględniono momentu najfotogeniczniejszego: wody i powodzi. Cybulski zrywa tamę, jakby odkorkowywał flakonik perfum, a groźba powodzi tem się zaznacza, że na łagodnem paśmie wody płynie sobie garnek, czy wazon, czy czapka.

Bilans artystyczny, jak widzimy, znowu średni. Tylko strona fotograficzna przepyszna. Gdyby nasi reżyserowie byli równie dobrzy, jak nasi operatorowie, tobyśmy gładko bili Paramounty i Metropoldryny amerykańskie.

M. J. Wielopolska.

ŻYCIE W PROMIENIU TYGODNIA.

Zima sroga i nieubłagana.

Mrozy niebywałe od dziesiątków lat, zatamowały ruch kolejowy, przerwały pracę i bieg normalnego życia.

W wielu jeziorach i płytszych stawach woda zamarzła do dna, zabijając wszystkie ryby.

Olbrzymie zaspy śnieżne potworzyły się na drogach, uniemożliwiając przejazd i odcinając całe połacie kraju od świata.

Lwów, Stanisławów, Tarnopol były przez czas dłuższy „zamurowane na amen" i widmo głodu i braku węgla zawisło nad miastami.

Koleje stanęły. Zaspy śnieżne doszły do niebywałej wysokości, zagrzebując pociągi w drodze i gubiąc tory kolejowe, że często parę dni upłynęło, nim robotnicy zdołali odnaleźć szyny.

Niektóre pociągi stały w szczerym polu po parę dni, a śnieg przysypywał je po dachy wagonów, uniemożliwiając jazdę i wprzód i wtył.

Osobowy pociąg, idący ze Lwowa do Krakowa, uwiązł w śniegu między Gródkiem Jagiellońskim, a Mszaną i stał wśród pustkowia 3 dni nieopalany i ciemny, zasypany śniegiem powyżej dachów na 20-sto stopniowym mrozie, podczas wielkiej wichury.

Z obu stron szturmowały zaspę olbrzymie parowozy towarowe i nie mogły się dostać do nieszczęsnego pociągu.

Z trudem dostarczono pasażerom trochę jedzenia i opału. Lecz robotnicy, którzy dotarli do uwięzionych nie mogli już powrócić.

Na szczęście nadeszły z Warszawy wielkie pługi śnieżne wraz z pociągiem dyrektora departamentu Min. Komunikacji inż. Ciechanowieckiego, który rozpędził swój pociąg i z szybkością 60 klm. na godzinę, wbił się w zaspę z taką siłą, że pługi zatrzymały się prawie przy samych wagonach.

Działy się tam straszne sceny, nim brygada ratownicza zdołała ogrzać pociąg i nakarmić nieszczęśliwych podróżnych.

Jedna z kobiet za nic nie chciała opuścić wagonu, wołając w gorączce, że musi czekać na matkę, która jej przyniesie ciepłą chustkę.

...Takie to rzeczy działy się w całej Polsce; ma się wrażenie, że są to opowieści z krain północy: Alaski, ziemi Beringa, czy Labradoru!

Jednakże i to nie było najgorsze!

Najgorsze działo się w suterynach i nędznych norach wielkich miast, gdzie biedota stłoczona po kilkanaście osób w jednej zatęchłej izbie dygotała z potwornego zimna!

W decydującej zaś chwili, podczas największych mrozów, zabrakło w Warszawie węgla i mimo energicznej postawy władz, brakło go aż do końca wielkich mrozów.

...A teraz nadchodzi wiosna i zbliża się widmo powodzi...

Bep.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

Nr. 1 LOGOGRYF.

Z niżej podanych sylab ułożyć według podanych znaczeń 15 wyrazów. Wówczas pierwsze litery czytane pionowo dadzą rozwiązanie.

Sylaby: a, ar, cie, du, ga, i, i, kan, kar, ko, le, ła, ma, ma, mar, mor, nat, o, or, ra, rys, sto, śmie, ta, ta, to, wa, wa, zie.

Znaczenie wyrazów: 1. Nieczystości, 2. Produkt z bawełny, 3. Kwiat, 4. Bożek miłości, 5. Ubiór rzymski, 6. Pycha, 7. Strój duchowny, 8. Plecionka, 9. Pierwszy lotnik, 10. Zasłona, 11. Trawa, 12 Ochrona drzewa, 13. Choroba roślin, 14. Sprzęt do siedzenia, 15. Lasso.

Nr. 2. BILETY WIZYTOWE.

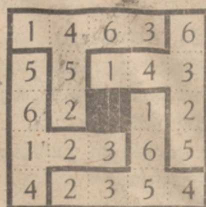
LODA KEM

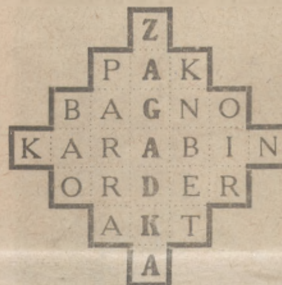
LEA KRAK

Z podanych biletów odgadnąć zawód ich właścicielek.

Za trafne rozwiązanie zadań, nadesłane w terminie dwutygodniowym w kopertach z dopiskiem „Rozrywki umysłowe", przeznacza redakcja nagrody książkowe.

Rozwiązanie zadań z Nr. 2.





Adres Redakcji i Administracji. Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji i administracji 517-35.
Redakcja otwarta w poniedziałki, środy, piątki od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.
WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. —.95. Kwartalnie Zł. 2.85. Półrocznie Zł. 5.70. Rocznie Zł. 11.40.

Warszawskie Zakłady Graficzne, Wilcza 60. Tel. 293-47.